

JAMES ROLLINS

Autor AMAZONII i OŁTARZA EDENU



EKSPEDYCJA

PROLOG

Wschód słońca
Andy Peruwiańskie
Rok 1538

Nie było ucieczki.

Francisco de Almagro, przedzierający się przez zasnutą mgłą dżunglę, już dawno przestał modlić się o ratunek przed myśliwymi, którzy deptali mu po piętach. Zdyszany, walcząc o każdy oddech, ledwie szedł słabo widoczną ścieżką. Rękawem startł pot z czoła. Miał na sobie dominikański habit z barwionej na czarno wełny i jedwabiu, poplamiony i podarty. Inkowie, którzy go pojмали, zabrali mu wszystko poza habitem i krzyżem. W obawie przed obrażeniem bogów z nieznaney krainy plemienny szaman ostrzegł swoich, by nie dotykali obcych talizmanów.

Choć gruby i ciężki habit nie nadawał się do ucieczki przez zasnutą niskimi chmurami gęstą dżunglę północnych Andów, młody zakonnik nie chciał się go pozbywać. Strój poświęcił osobiście papież Klemens VII, kiedy Francisca wyświęcano na księdza, i nie zamierzał się z nim rozstawać. Mimo wszystko należało zmodyfikować go stosownie do sytuacji.

Zakonnik złapał skraj szaty i oderwał ją na wysokości ud.

Kiedy uwolnił nogi, wsłuchał się w dźwięki pogoni. Okrzyki inkaskich myśliwych były głośniejsze i odbijały się echem od ścian górskiej przełęczy, którą pokonał. Nawet skrzekliwe wrzaski przestraszonych małp w koronach drzew nie zagłuszały narastającej wrzawy ścigających. Wkrótce go dogonią.

Młodemu księdzu pozostała jedna nadzieja: zbawienie. Nie siebie jednak, lecz świata.

Ucałował postrzępiony skraj habitu i wypuścił go z rąk. Musiał się

spieszyć.

Wyprostował się nieco zbyt szybko i na chwilę zrobiło mu się ciemno przed oczami. Aby nie upaść, złapał pień młodego drzewa i ciężko westchnął, z trudem łapiąc rozrzedzone powietrze. Przed oczami tańczyły mu jaskrawe punkciki. Na tej wysokości płuca nie wypełniały się powietrzem jak należy. Musiał często odpoczywać, jednak nie mógł pozwolić, by zatrzymał go brak tchu.

Odepchnął się od drzewa i znów ruszył ścieżką; potykał się i zataczał. Szedł chwiejnie nie tylko z powodu wysokości. Przed egzekucją, która miała się odbyć o świcie, został poddany rytualnemu upustowi krwi, zmuszono go też do wypicia gorzkiego napoju — *chicha*, sfermentowanego płynu, od którego ziemia natychmiast rozbijała się pod nogami. Nagły wysilek związany z ucieczką nasilał efekt narkotyku.

Dżungla wydawała się pełna kończyn, które sięgały ku niemu, próbując go schwycić w pułapkę. Ścieżka zdawała się pochyłać to na jedną, to na drugą stronę. Serce tłukło mu w gardle, uszy wypełniał coraz potężniejszy huk, zagłuszający nawet okrzyki jego prześladowców. Francisco wytoczył się z dżungli i mało brakowało, a spadłby z krawędzi skały. Daleko w dole widać było źródło huku: wśród czarnych kamieni kipiała spieniona biała woda.

Coś w zakamarku umysłu mówiło mu, że to jeden z dopływów potężnej rzeki Urabamba, jednak nie mógł sobie pozwolić na rozważania topograficzne. Rozpacz wypełniała mu pierś i uciskała serce. Od celu oddzielała go przepaść. Ciężko dysząc, Francisco oparł dłonie na podrapanych kolanach. Dopiero wtedy zauważył wążiutki, spleciony z traw most. Znajdował się z prawej strony i prowadził na drugi brzeg przepaści.

— *Obrigado, meu Deus!* — podziękował Panu po portugalsku. Od chwili przyjęcia święceń w Hiszpanii nie rozmawiał w ojczystym języku. Dopiero teraz, ze spływającymi po twarzy łzami rozpacz i strachu, powrócił do mowy dzieciństwa.

Wyprostował się, podszedł do mostu i przesunął dłońmi po splecionych wiązkach trawy *ichu*. Nad dudniącą w dole rzeką przerzucono grubą linę, zaopatrzoną po bokach w dwa cieńsze sznury, służące jako poręcze. Kiedy indziej Francisco na pewno doceniłby inżynieryjny kunszt konstruktorów mostu, teraz jednak

myślał wyłącznie o ucieczce — stawianiu stopy przed stopą i utrzymywaniu równowagi.

Całą nadzieję pokładał w dotarciu do ołtarza na szczycie najbliższej góry. Inkowie szanowali i czcili ten otoczony dżunglą wierzchołek, podobnie jak wiele innych w okolicy. Aby tam jednak dotrzeć, Francisco musiał pokonać przepaść, a potem wydostać się z zamglonej puszczy i wspiąć na skaliste zbocze.

Czy wystarczy mu czasu?

Kiedy ponownie się odwrócił, by posłuchać odgłosów pogoni, słyszał jedynie dudnienie rzeki w dole. Nie miał pojęcia, jak daleko są myśliwi, podejrzewał jednak, że skracają dystans. Nie wolno mu było się ociągać.

Przesunął spoconą dłoń po ogolonej głowie i złapał poręcz mostu. Na chwilę zacisnął powieki i chwycił drugą linę. Modląc się, wszedł na most. Nie pozwalał sobie spojrzeć w dół, skupiał tylko wzrok na przeciwnym brzegu.

Trwało to nieskończoność, w końcu jednak pod lewą stopą poczuł kamień. Z ulgi nogi się pod nim ugięły, ale wszedł na pewny grunt. Niemal opadł na kolana, gotów ucałować i błogosławić skalistą ziemię, kiedy za jego plecami rozległ się przypominający warknięcie okrzyk. W glinę tuż za piętą wbiło się ostrze dzidy. Drzewce dygotało od impetu.

Francisco zamarł niczym przestraszony królik; po chwili rozległ się kolejny krzyk. Po drugiej stronie przepaści — skąd właśnie uciekł — stał inkaski myśliwy. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały.

Myśliwy i ofiara.

Inka, którego głowę zdobił pióropusz z lazurowych i czerwonych piór, wyszczerzył zęby jak gdyby w uśmiechu. Na jego szyi błyszczały grube złote łańcuchy — w każdym razie Francisco miał nadzieję, że to złoto. Wzdrygnął się.

Bez chwili wahania wyjął zza pazuchy srebrny sztylet. Broń, którą ukradł czarownikowi Inków, posłużyła mu do ucieczki i teraz będzie musiała posłużyć mu ponownie. Złapał boczną linę mostu. Nie miał dość czasu na przecięcie głównej liny, ale zniszczenie poręczy utrudni prześladowcom przeprawę. Raczej ich nie powstrzyma przed kontynuacją pogoni, ale na pewno pozwoli Franciscowi zyskać nieco czasu.

Kiedy zaczął ciąć warkocz z wyschniętych traw, poczuł ból w barkach. Liny zrobiono chyba z żelaza. Inka coś zawołał, mówił spokojnie w swoim barbarzyńskim języku. Ksiądz nie rozumiał ani słowa, ale groźba i obietnica cierpienia były jasne.

Kolejna fala strachu dodała Franciscowi sił. Dźgał i ciął, nie zwracając uwagi na gorące łzy spływające mu po ubłoconej twarzy. Nagle lina pękła i oderwała się z trzaskiem. Jedna z końcówek smagnęła go po policzku. Odruchowo dotknął rany dłonią — palce zabarwiła krew, ale on nie czuł bólu.

Przełknął z trudem ślinę i zabrał się do drugiej liny. Kolejna dzida uderzyła w skałę na krawędzi skały i poleciała w dół. Zaraz potem nadleciała trzecia. Trafiła znacznie bliżej.

Francisco podniósł wzrok. Po drugiej stronie przepaści stało czterech myśliwych. Czwarty trzymał dzidę, pierwszy napinał łuk. Francisco popatrzył na nietknięte mocowanie drugiej poręczy. Skończył mu się czas — pozostanie na miejscu oznaczało śmierć. Musiał zaufać, że zniszczenie jednej liny wystarczy do spowolnienia pościgu.

Rzucił się biegiem ku dżungli i wpadł między drzewa. Ścieżka wspinała się stromo, wysysając siłę z nóg i powietrze z płuc. Drzewa rosły rzadziej niż po drugiej stronie przepaści, zielony dach nad głową był bardziej ażurowy i z każdym z trudem przebytym odcinkiem drogi dżungla się przerzedzała. Ułatwiała to bieg, ale czyniła z uciekiniera łatwiejszy cel. Przy każdym kroku Francisco spodziewał się strzały w plecach.

Tak blisko... Panie, nie opuszczaj mnie teraz.

Starł się nie patrzeć przed siebie, skupiać wzrok tylko na gruncie pod nogami. Z trudem stawiał stopę za stopą. Nagle świat dookoła pojaśniał, jakby sam Pan odsunął drzewa na bok, aby oświecić go łaską. Francisco głośno westchnął i uniósł głowę. Nawet tak prosty ruch przychodził mu z trudem. Wystarczył kolejny krok, i dżungla była za nim. Promienie zachodzącego słońca rozpałały czerwone i czarne skały nagiego szczytu.

Był za słaby nawet na krótką modlitwę. Niemal na czworakach przebił się przez ostatnie krzewy ku szczytowi. To musiało się odbyć tutaj. Na ich świętym ołtarzu.

Plącząc — choć nie słyszał własnego łkania — podpełzł do granitowej płyty. Opadł przy niej ciężko na ziemię i uniósł wzrok do

nieba. Krzyknął głośno, nie modlił się jednak, ale dawał znak, że jeszcze żyje — aby usłyszeli.

Natychmiast mu odpowiedzieli. Ostre krzyki myśliwych odbiły się echem w przełęczy. Pokonali przepaść i kontynuowali pogoń.

Francisco opuścił głowę. Wszędzie, aż po horyzont, widać było liczne szczyty Andów. Niektóre pokrywał śnieg, ale większość była naga jak ten, na którym klęczał. Przez chwilę niemal rozumiał inkaski kult tych gór. Tutaj — między chmurami a niebem — człowiek był blisko Boga. W ciężkiej ciszy zdawały się rozbrzmiewać ponadczasowość i obietnica wieczności. Nawet myśliwi przycichli — albo z szacunku wobec gór, albo po to, by zaskoczyć ofiarę.

Francisco był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać.

Skierował wzrok na dwa nietypowe dla tych gór wierzchołki: na zachodzie, nieco w dole, dymiły dwa wulkany, bliźniacze kratery wpatrywały się w poranne niebo. Z miejsca, gdzie stał, wyglądały jak kaprawe, przeklęte oczy.

Splunął w ich kierunku i uniósł pięść z kciukiem między palcem wskazującym a środkowym — w geście mającym odstraszyć diabła.

Francisco doskonale wiedział, co znajduje się w tamtej dolinie. Stojąc obok kamiennego ołtarza, nazwał bliźniacze wulkany.

— *Ojos el de Diablo* — szepnął. — Oczy diabła.

Wzdrygnął się i odwrócił plecami do wulkanów. Gdyby na nie patrzył, nie mógłby zrobić tego, co musiało zostać zrobione. Patrzył teraz ku wschodowi, na wznoszące się słońce.

Ukląkł przed blaskiem chwały, sięgnął za pazuchę i wyjął krzyż, który wisiał mu na szyi. Dotknął rozgrzanym metalem czoła. Złoto. Powód, dla którego Hiszpanie przedzierali się przez obcą i wrogą dżunglę — marzenie o bogactwie i dobrobycie. A teraz chciwość i pożądanie stanie się ich przekleństwem...

Francisco odwrócił krucyfiks i pocałował złotą postać. Po to tu przybył — by nieść poganom słowo Pana, a teraz krzyż pozostał jedyną nadzieją dla świata. Przesunął palcem z tyłu krzyża, by poczuć grawerunek, który starannie wykonał w miękkim metalu.

Oby ocalił nas wszystkich, pomodlił się w milczeniu i wsunął krzyż z powrotem za habit, tuż przy sercu.

Uniósł wzrok w kierunku świtu. Musiał mieć pewność, że Inkowie nie zabiorą mu krzyża. Choć dotarł do jednego z ich świętych miejsc

— tego górskiego ołtarza — dla zapewnienia bezpieczeństwa krzyżowi konieczny był jeszcze jeden akt.

Ponownie wyjął spod habitu sztylet szamana.

Skruszony, z modlitwą na ustach, błagał o wybaczenie za grzech, który zamierzał popełnić. Nie miał wyboru — niezależnie od tego, czy skazywał swą duszę na potępienie, czy nie. Ze łzami w oczach uniósł sztylet i przeciągnął sobie ostrzem po gardle. Przeszywający ból sprawił, że wypuścił sztylet z dłoni. Jego ciało opadło i podparł się dłońmi. Krew z rozciętego gardła zalewała czarne kamienie.

W słońcu poranka czerwona krew błyszczała jaskrawo na czarnej skale. Ostatnim obrazem, jaki de Almagro widział w chwili śmierci, była jego krew płynąca po inkaskim ołtarzu, lśniąca jak złoto.

Poniedziałek, 20 sierpnia, godzina 11.52
Uniwersytet imienia Johnsa Hopkinsa
Baltimore w stanie Maryland

Palce profesora Henry'ego Conklina, który zdejmował ostatnią warstwę materiału, w jaki owinięto zamrożony skarb, lekko drżały. Profesor wstrzymał oddech. W jakim stanie była mumia po niemal pięciu tysiącach kilometrów podróży z Andów? W Peru najstaranniej, jak umiał, otulił zamrożone szczątki suchym lodem i zapakował je do skrzyni, w której miały dotrzeć do Baltimore, ale w trakcie tak długiego transportu różnie bywa.

Henry przecesał palcami ciemne włosy — od sześćdziesiątych urodzin, które obchodził w minionym roku, coraz częściej przetykane siwizną. Modlił się, by trzydzieści lat badań i pracy w terenie wreszcie się opłaciło. Nie dostanie drugiej szansy. Przewiezienie mumii z Ameryki Południowej kosztowało niemal wszystkie pieniądze z grantów, a w obecnych czasach nowe stypendia i subwencje przyznawano wyłącznie naukowcom młodszym od niego. Stawał się w Texas A&M dinozaurem i choć w środowisku nadal go szanowano, chociaż był na uczelni hołubiony, nie wiązano z nim wielkich nadziei.

Najnowsze odkrycie, jakiego dokonał w ruinach położonej wysoko w Andach małej inkaskiej wioski, mogło jednak wszystko zmienić — zwłaszcza gdyby dowiodło prawdziwości jego kontrowersyjnej teorii.

Ostrożnie odwinął ostatnią warstwę płótna i mgła wytwarzana przez topniejący lód natychmiast zasnęła mu widok. Rozwiał ją kilkoma ruchami dłoni i popatrzył na skuloną postać z ramionami obejmującymi przyciśnięte do piersi kolana, zamarłą w niemal płodowej pozycji, tak samo jak wtedy, gdy ją odkrył w niewielkiej jaskini niedaleko zamrożonego wierzchołka góry Arapa.

Henry wpatrywał się w znalezisko. Spod pasm cienkich włosów, które się zachowały, patrzyły na niego starożytne oczodoły — otwarte i puste. Wargi — wyschnięte i obkurczone — ukazywały żółte zęby. Skórę, która wyglądała jak wygarbowana, oblepiały resztki pogrzebowego całunu. Ciało było tak dobrze zachowane, że w świetle laboratoryjnych reflektorów jaskrawo połyskiwała nawet czern postrzępionej szaty.

— Boże! — rozległo się tuż przy jego ramieniu. — Idealne!

Henry drgnął — był tak zamyślony, że zapomniał o obecności innych ludzi. Odwrócił się i natychmiast oślepił go błysk flesza. Reporterka z „Baltimore Herald” wysunęła się zza jego pleców, by zrobić zdjęcie pod innym kątem, nawet na chwilę nie odsuwając nikona od oka. Blond włosy miała związane w ciasny koński ogon. Robiła zdjęcia i równocześnie mówiła:

— Ile dałby mu pan lat, profesorze?

Henry zamrugał, aby odzyskać widzenie, i cofnął się o krok, by odsłonić widok pozostałym obecnym. Dwoje naukowców z instrumentami w rękach podeszło bliżej.

— Powiedziałbym, że mumifikacja... moim zdaniem to szesnasty wiek. A więc dałbym mu jakieś czterysta, pięćset lat.

Reporterka opuściła aparat, ale nie odwróciła wzroku od skulonej postaci na stole tomografu komputerowego. Z lekkim obrzydzeniem skrzywiła górną wargę.

— Nie, nie, chodzi mi o to, ile lat miał zmarły...

— Och... — profesor poprawił okulary na nosie. — Około dwudziestu... Trudno o dokładną diagnozę na podstawie ogólnych oględzin.

Spojrzała na nich kobieta należąca do pary patologów, którzy badali głowę mumii. Była drobna, brakowało jej kilku lat do sześćdziesiątki, ciemne długie włosy opadały jedwabistymi pasmami na plecy.

— W chwili śmierci miał trzydzieści dwa lata — stwierdziła obojętnym tonem. Doktor Joan Engel była kierowniczką wydziału patologii sądowej na Uniwersytecie imienia Johnsa Hopkinsa i od wielu lat przyjaźniła się z Henrym Conklinem. Jej stanowisko było jednym z powodów, dla których postanowił sprowadzić mumię do Hopkinsa. — Jego trzecie zęby trzonowe dopiero zaczynały się

wyrzynać — ciągnęła — i na tej podstawie, a także biorąc pod uwagę stopień zużycia drugich trzonowych, zakładam, że mój szacunek jest trafny z dokładnością do trzech lat. Oczywiście tomografia określi wiek bardziej precyzyjnie.

Jadeitowe oczy doktor Engel błyszczały, kontrastując z jej spokojnym wyglądem, a w ich kącikach pojawiały się zmarszczki. Podczas oględzin mumii ani razu nie okazała śladu niesmaku, nawet gdy obmacywała zasuszone szczątki. Henry dostrzegał jej ekscytację, dokładnie odpowiadającą temu, co sam odczuwał. Świadomość, że entuzjazm Joan dla tajemnic nauki nie osłabł od czasu, kiedy poznali się na studiach, była bardzo przyjemna. Zanim Joan wróciła do dalszego badania mumii, rzuciła mu przepraszające spojrzenie — że zanegowała jego opinię.

Henry poczuł, że czerwienią mu się policzki — bardziej z zażenowania niż z irytacji. Była jak zawsze gorliwa i bystra.

Przełknął ślinę i spróbował się uspokoić. Odwrócił się do reporterki.

— Mam nadzieję udowodnić, że choć stanowisko, na którym znaleźliśmy mumię, jest inkaskie, ten człowiek należał do innego peruwiańskiego ludu.

— Co ma pan na myśli?

— Od dawna wiadomo, że do Inków należały wojownicze plemiona, które często atakowały sąsiednie społeczności i dosłownie je zjadały. Budowali swoje miasta w miejscach siedzib poprzedników w taki sposób, by nie pozostawić po nich śladu. Na podstawie badań Machu Picchu i innych ruin na wyżynach Andów wysnułem teorię, że tych podniebnych miast nie zbudowały nizinne plemiona Inków, lecz przejęły je one od ludów, które istniały przed nimi, i w ten sposób skradły tym wybitnym architektom miast na szczytach gór należne im miejsce w historii. — Henry skinął głową w kierunku mumii. — Mam nadzieję, że ten osobnik pomoże skorygować historyczny błąd.

Reporterka zrobiła kolejne zdjęcie i musiała się cofnąć, gdy para patologów zaczęła badać dolną część ciała mumii.

— Na jakiej podstawie sądzi pan, że mumia potwierdzi tę teorię?

— Grobowiec, w którym ją odkryliśmy, jest przynajmniej sto lat starszy od inkaskich ruin, co sugeruje, że być może znaleźliśmy jednego z prawdziwych budowniczych górskich cytadel. Poza tym ten z mumifikowany człowiek był przynajmniej o głowę wyższy od

przeciętnego Inki z regionu... ma nawet inne rysy twarzy. Sprowadziłem tu mumię, aby udowodnić, że nie jest to Inka, ale jeden z prawdziwych twórców tych wyjątkowych miast. Dzięki genetycznemu mapowaniu, jakim dysponujemy, mogę uzasadnić każdą...

— Profesorze Conklin — przerwała mu Joan. — Na pewno zechce pan to zobaczyć.

Reporterką odsunęła się na bok, aby przepuścić profesora, nikon ponownie się uniósł i zasłonił jej pół twarzy. Henry precyzyjnie się między dwójką naukowców. Obmacywali brzuch i klatkę piersiową mumii. Asystent doktor Engel, młody człowiek o wielkich oczach i płowych włosach, pochylał się nad znaleziskiem. Ostrożnie wydobywał sznurek ukryty w fałdzie skóry na szyi mumii.

Joan Engel wyciągnęła palec.

— Ma rozplątane gardło — powiedziała i rozsunęła wyschniętą skórę, ukazując kości. — Żeby mieć pewność, potrzebne będzie badanie mikroskopowe, ale moim zdaniem rana została zadana *ante mortem*. — Popatrzyła na Henry'ego i reporterkę. — Przed śmiercią. Najprawdopodobniej to ona spowodowała śmierć.

Henry skinął głową.

— Inkowie lubili krwawe rytuały — stwierdził. — Wiele z nich obejmowało obcinanie głów i składanie ludzi w ofierze.

Asystent doktor Joan Engel po chwili wyciągnął z rany sznurek. Zamarł w pół ruchu i popatrzył na szefową.

— Moim zdaniem to jakiś naszyjnik... — mruknął i pociągnął. Coś się poruszyło pod strzępami szaty.

Joan podniosła wzrok na Henry'ego, milcząco pytając o zgodę na dalsze działanie.

Profesor skinął głową.

Asystent zaczął ostrożnie ciągnąć i przedmiot powoli wysuwał się z ukrycia. To, co zamocowano na końcu sznurka, przesuwano się pod zniszczonym materiałem. Nagle prastara tkanina pękła i przedmiot ukazał się w pełnej krasie.

Ze wszystkich czterech gardeł wydobyło się głośnie westchnienie. W jaskrawym halogenowym świetle laboratorium zaśniło złoto. Kiedy reporterka zaczęła migać fleszem, robiąc serię szybkich zdjęć, oczy obecnych oślepiły błyski.

— To krzyż — powiedziała Joan Engel, stwierdzając oczywisty fakt. Henry jęknął i się pochylił.

— I to nie pierwszy lepszy. To dominikański krucyfiks.

— Co to oznacza? — spytała reporterka, nie odsuwając aparatu od twarzy.

Henry wyprostował się i pomachał dłonią nad łacińskim napisem.

— Dominikańscy misjonarze towarzyszyli hiszpańskim konkwistadorom w trakcie najazdu na Indian z Ameryki Środkowej i Południowej.

Reporterka opuściła aparat.

— A więc to mumia hiszpańskiego księdza?

— Tak jest.

— Nieźle!

Joan Engel dotknęła krzyża trzymaną w ręku szpatułką.

— Ale przypadki mumifikowania przez Inków hiszpańskich zdobywców nie są znane.

— Do dziś — gorzko powiedział Henry. — Podejrzewam, że odkrycie zasłuży przynajmniej na wzmiankę w jakimś czasopiśmie. — Jego marzenie o udowodnieniu swojej teorii gasło w blasku złotego krucyfiksu.

Joan dotknęła palcem jego dłoni.

— Jeszcze nie rozpaczaj. Może krzyż został ukradziony jakiemuś Hiszpanowi? Zróbmy najpierw tomografię i sprawdźmy, czego się dowiemy o naszym przyjacielu.

Henry skinął głową, w jego sercu nie było jednak wielkiej nadziei. Popatrzył na Joan Engel — w jej oczach dostrzegł szczerą troskę. Lekko się uśmiechnął i, ku jego zaskoczeniu, odwzajemniła uśmiech. Pamiętał go sprzed wielu lat — byli na kilku randkach, jednak oboje zbyt poświećali się studiom, aby ich znajomość przerodziła się w coś więcej. Kiedy zrobili magisteria, ich drogi się rozeszły, stracili kontakt i tylko posyłali sobie świąteczne kartki. Ale Henry nigdy nie zapomniał jej uśmiechu.

Poklepała go po dłoni, po czym zwróciła się do asystenta:

— Brent, zawiadomisz doktora Reynoldsa, że jesteśmy gotowi do skanu? — Odwróciła się do Henry'ego i reporterki. — Muszę was poprosić o przejście do pokoju obok. Obejrzymy procedurę z za szyby w pomieszczeniu kontrolnym.

Przed opuszczeniem pokoju Henry sprawdził, czy mumia jest prawidłowo zamocowana do stołu tomografu, po czym zdjął z jej szyi złoty krucyfiks. Ściskając go w dłoni, poszedł za pozostałymi do sąsiedniego pomieszczenia.

Pod ścianami boksu stały szeregi komputerów i monitorów. Zespół badawczy zamierzał wykorzystać popularną metodę tomografii komputerowej, w skrócie TK, pozwalającą uzyskać zdjęcia radiograficzne, z których komputer tworzy trójwymiarowy obraz ukazujący wnętrze obiektu. Metoda pozwala dokonać wirtualnej sekcji bez naruszania znaleziska. Poza zawodowym kontaktem z Joan był to drugi ważny powód, dla którego Henry włókł mumię przez pół świata: Uniwersytet Hopkinsa prowadził już analizy peruwiańskich mumii lodowych i nadal miał wsparcie organizacji National Geographic. Uniwersytet dysponował także znakomitym laboratorium genetycznym, pozwalającym mapować geny przodków i tworzyć genealogię. Laboratorium mogło dostarczyć konkretnych danych na poparcie jego kontrowersyjnej teorii. Dominikański krzyż, który trzymał w dłoni, był jednak wyraźnym świadectwem, że nie powinien robić sobie nadziei.

Kiedy weszli do środka, ciężkie od ołowiu drzwi gładko się zamknęły.

Joan Engel przedstawiła wszystkich doktorowi Robertowi Reynoldsowi, który wskazał przybyszom krzesła, tymczasem technik zaczął kalibrować urządzenie.

— Siadajcie, proszę.

Troje gości przysunęło sobie krzesła do szyby, za którą widać było tomograf, ale Henry stał, by równocześnie obserwować okno widokowe i monitory. Wielki biały tomograf zajmował połowę pomieszczenia, stół z mumią był u wlotu wąskiego tunelu prowadzącego do wnętrza urządzenia.

— No to zaczynamy — powiedział doktor Reynolds i zaczął wciskać klawisze na panelu obsługi.

Kiedy z głośników przekazujących dźwięk z sąsiedniego pomieszczenia doleciał ostry metaliczny klekot, Henry aż podskoczył i o mało nie wypuścił z dłoni krucyfiks. Jednak nie było czym się denerwować: stół, na którym leżała mumia, zaczął powoli wsuwać się w tomograf. Kiedy głowa mumii wjechała do środka, do klekotu

maszyny dołączył chór głośnych trzasków — urządzenie zaczęło rejestrować obrazy.

— Bob, daj najpierw powierzchniowy widok kości twarzy — powiedziała Joan Engel. — Zobaczmy, czy uda się ustalić, skąd facet pochodzi.

— Może to pani określić po wyglądzie czaszki? — spytała reporterka.

Joan skinęła głową, nie odwróciła jednak wzroku od monitorów.

— Kształty łuku jarzmowego, czoła i kości nosowej są dobrymi markerami pochodzenia i rasy.

— Zaraz będziemy je mieli... — oznajmił doktor Reynolds.

Henry odwrócił się od szyby i spojrzał Joan przez ramię. Na monitorze pojawił się czarno-biały obraz — przekrój czaszki mumii.

Joan założyła okulary do czytania i przysunęła krzesło do monitora. Pochyliła się, by przestudiować obraz.

— Bob, możesz obrócić o trzydzieści stopni?

Żując ołówek radiolog skinął głową. Nacisnął kilka klawiszy i czaszka na ekranie obróciła się przodem. Joan wzięła małą linijkę i zaczęła mierzyć. Zmarszczyła czoło i postukała w ekran paznokciem.

— Ten cień nad prawym oczodołem... możemy bliżej mu się przyjrzeć?

Znowu wciśnięto kilka klawiszy i obraz się powiększył. Radiolog wyjął ołówek spomiędzy zębów. Gwizdnął z uznaniem.

— Co to jest? — spytał Henry.

Joan odwróciła się i opuściła nieco okulary, by popatrzeć znad szkieł.

— Dziura. — Postukała w ekran, wskazując trójkątny cień na płaszczyźnie kości. — Nienaturalna. Ktoś mu ją wywiercił w czaszce. A ponieważ wokół rany nie ma zgrubienia, sądzę, że stało się to po śmierci.

— Trepanacja... wiercenie otworu w czaszce — stwierdził Henry. — Widywałem to w wielu starych czaszkach z różnych stron świata, najbardziej skomplikowane zabiegi robili jednak Inkowie. Uważano ich za największych ekspertów od trepanacji. — Henry pozwolił sobie na cień nadziei. Jeśli czaszka została przewiercona, może jednak był to peruwiański Indianin.

Joan musiała czytać mu w myślach.

— Niechętnie gaszę twoje nadzieje, ale trepanacja czy nie, zmarły

z pewnością nie pochodzi z Ameryki Południowej. To Europejczyk.

Henry przez kilkanaście sekund nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Jesteś... jesteś pewna?

Joan zdjęła okulary, schowała je do kieszeni i cicho westchnęła, zdecydowana postawić niekorzystną diagnozę.

— Owszem. Moim zdaniem pochodzi z Europy Zachodniej. Prawdopodobnie z Portugalii. Jeśli dostanę czas na bliższe badania, prawdopodobnie uda mi się nawet określić, z jakiego regionu. — Pokręciła głową. — Przykro mi, Henry.

Widział w jej oczach współczucie. Choć serce przepełniała mu rozpacz, starał się zachować spokój. Popatrzył na dominikański krzyż w ręku.

— Musiał zostać pojmany przez Inków — stwierdził. — I złożony ich bogom w ofierze na górze Arapa. Ponieważ jego krew rozlano w świętym miejscu, mieli obowiązek go zmumifikować niezależnie od tego, kim był. Prawdopodobnie dlatego zostawili mu krzyż. Kto umarł w świętym miejscu, temu należał się szacunek, a okradanie ciała z wartościowych przedmiotów było tabu.

Reporterka robiła pospieszne notatki, chociaż nagrywała ich rozmowę.

— Będzie z tego świetny artykuł.

— Artykuł może tak... albo i dwa. — Henry wzruszył ramionami, próbując się uśmiechnąć.

— Ale miałaś nadzieję na coś więcej — powiedziała Joan Engel.

— To tylko intrygująca ciekawostka. Nie rzuca nowego światła na Inków.

— Może twoje wykopaliska w Peru przyniosą coś bardziej znaczącego — próbowała go pocieszyć.

— Nadzieja jest zawsze. Mój bratanek i kilku studentów próbują właśnie wejść do ruin świątyni. Może będą mieli dobre wieści.

— Zawiadomisz mnie w razie czego? — spytała Joan z uśmiechem. — Wiesz chyba, że śledzę twoje odkrycia w „National Geographic” i w „Archaeology”.

— Naprawdę? — Henry nieco się wyprostował.

— Oczywiście, każde było bardzo ciekawe.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

— Na pewno będę dawał ci znać. — Nie była to czcza obietnica.

Mimo wieku Joan emanowała urokiem, który go rozbierał. Nie dało się też nie zauważyć jej kobiecych kształtów, których nie zdołał ukryć nawet laboratoryjny kitel. Henry znowu poczuł, że czerwienię ją mu policzki.

— Joan, lepiej tu podejść i popatrz — powiedział radiolog ściszym głosem. — Coś jest nie tak z tomografią.

Joan odwróciła się do monitora.

— Co się dzieje?

— Bawiłem się obrazem szwu strzałkowego, żeby ocenić gęstość kości, ale wszystkie zdjęcia wnętrza ciała okazały się puste. — Kiedy i Henry skierował wzrok na ekran, doktor Reynolds pokazał serię obrazów mających ukazywać coraz głębsze warstwy w czasie, tyle tylko, że każdy był identyczny: biała plama.

Joan Engel dotknęła ekranu, jakby jej palce mogły zrozumieć naturę zjawiska.

— Skalibrujemy urządzenie od nowa i spróbujemy jeszcze raz — powiedziała.

Radiolog wcisnął klawisz i dochodzący od strony tomografu klekot ucichł. Zastąpił go ostrzejszy odgłos, przebijający się przez stuk rotujących magnesów. Z głośników popłynął wysokotonowy pisk, przypominający odgłos powietrza wylatującego z balonu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku źródłu dźwięku.

— A to co? — spytał Reynolds. Wcisnął kolejne klawisze. — Skaner się zablokował.

Reportarka z „Heralda”, która siedziała najbliżej okna z widokiem na tomograf, skoczyła na nogi, przewracając krzesło.

— Boże drogi!

— Co się stało? — Joan Engel podeszła do niej.

Henry zrobił to samo, zaniepokojony o kruchą mumię.

— O co...? — Nie dokończył pytania, ponieważ zobaczył, co się dzieje. Mumia leżała na stole, ale głowa podskakiwała, uderzając rytmicznie o metalową powierzchnię. Szczęki szeroko się otworzyły i wydobywał się z nich pisk. Henry poczuł, jak miękną mu kolana.

— To żyje! — z przerażeniem zawołała reporterka.

— Niemożliwe... — wyjąkał Henry Conklin.

Konwulsyjne ruchy mumii robiły się coraz gwałtowniejsze. Czarne włosy latały wokół szarpiającej się na boki głowy niczym kłębowisko

węży. Wydawało się, że głowa zaraz oderwie się od szyi. Jednak to, co się stało, było gorsze. Znacznie gorsze.

Niczym zgniły arbuz, góra czaszki mumii eksplodowała i wyrzelił z niej żółty płyn, opryskując ścianę, tomograf i szybę.

Reporterka odeszła od szyby, zataczając się jak pijana, nogi się pod nią ugięły. Z ust wydobywał jej się niekontrolowany bełkot.

— O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże...

Joan pozostała profesjonalna i chłodna.

— Bob, potrzebujemy natychmiast kwarantanny, poziom drugi! Szybko!

Radiolog jak sparaliżowany gapił się na mumię, której drgawki zamierały.

— Niech mnie cholera... — szepnął w końcu. — Co to było?

Joan, nadal opanowana, pokręciła głową.

— Może eksplozja nagromadzonego gazu. Ciało zamarzło na dużej wysokości, nagle rozmrożenie mogło spowodować szybki rozkład z wytworzeniem się metanu. — Wzruszyła ramionami.

Reporterka w końcu się pozbierała i próbowała zrobić zdjęcie, ale Joan zasłoniła obiektyw jej nikona dłonią i pokręciła głową. Koniec ze zdjęciami.

Od chwili eksplozji Henry Conklin nawet nie drgnął. Stał przy szybie, przyciskając do niej dłoń. Wpatrywał się w pozostałości mumii i jaskrawe rozbryzgi na ścianach oraz tomografie. Błyszczały soczystą żółcią.

Reporterka pomachała dłonią w kierunku opryskanej szyby.

— Co to jest?

Henry mocniej zacisnął w dłoni dominikański krucyfiks i odpowiedział zszokowany, głuchym głosem.

— Złoto.

Godzina 17.14

Andy Peruwiańskie

— Jak się uważnie posłucha, niemal słysząc głosy umarłych.

Na te słowa Sam Conklin podniósł wzrok. Popatrzył na młodego freelancera z „National Geographic”. Norman Fields siedział obok z

otwartym laptopem na kolanach i wpatrywał się w porośniętą dżunglą ruiny. Od policzka po szyję biegła po jego twarzy smuga błota. Choć miał na sobie australijski płaszcz, jaki nosi się w buszu, i skórzany kapelusz, nie robił wrażenia zaprawionego w bojach, awanturniczego fotoreportera. Na nosie miał okulary z grubymi szklami, które lekko powiększały mu oczy i sprawiały, że wyglądał na nieustannie zaskoczonego, i choć miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był chudy jak tyczka i przypominał obciągniętą skórą kości.

Leżący na trzcinowej macie Sam uniósł się na łokciu.

— Co takiego, Norm?

— Jest tak cicho — szepnął jego towarzysz, którego bostoński akcent dodawał słowom szczególnej melodii. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech. — Niemal słychać prastare głosy odbijające się echem od gór.

Sam starannie położył mały pędzelek obok niewielkiego kamiennego przedmiotu, który właśnie oczyszczał, i usiadł. Zsunął zabłocony kowbojski kapelusz jeszcze bardziej na tył głowy i wytarł dłonie w dżinsy. Ponownie — jak tyle razy przedtem, gdy przez wiele godzin zajmował się jednym kamieniem z ruin — uroda starożytnego inkaskiego miasta zadziałała na niego niczym pierwszy łyk zimnego piwa w upalne teksańskie popołudnie. Łatwo było się zagubić w drobnych ruchach pędzelka na kamieniu, stracić z oczu całość, jej ogrom i rozległość. Aby lepiej docenić pełen powagi majestat, Sam usiadł wyprostowany.

Zatęsknił nagle za swoim koniem, appaloosą z „lamparcim” umaszczeniem, który został na zakurzonej farmie wuja pod Muleshoe w Teksasie. Korciło go, aby pojechać krętymi ścieżkami wśród ruin i podążać splątanym szlakiem ku tajemnicom kryjącym się w gęstej dżungli za miastem. Siedział z cieniem uśmiechu na ustach i chłonał widok.

— W tym miejscu jest coś mistycznego — powiedział Norman. — Wysokie szczyty. Snująca się mgła. Soczyście zielona dżungla. Nawet powietrze pachnie życiem, jakby wiatr niósł substancję, która dodaje duchowi witalności.

Sam poklepał dziennikarza po ramieniu w geście przyjaznej akceptacji. Widok naprawdę był zdumiewający.

Odkryte niedawno w andyjskiej dżungli miasto zostało zbudowane

na wysoko położonym siodle między dwoma szczytami. Tarasy rozpościerały się na powierzchni około stu dwudziestu hektarów, połączone schodami o stu stopniach. Sam, siedzący na Placu Słońca, widział całe prekolumbijskie ruiny: od domów dolnego miasta, zaznaczonych liniami kruszącego się kamienia, po Schody Chmur, prowadzące do Placu Słońca, na którym się znajdowali. Podobnie jak w siostrzanym mieście Machu Picchu, Inkowie zaprezentowali tu pełnię mistrzostwa architektonicznego, łącząc formę z funkcją, wykuwając w skałach wśród chmur miasto fortecę.

W odróżnieniu od intensywnie badanych ruin Machu Picchu te ruiny były dziewicze. Odkrył je wuj Hank ledwie kilka miesięcy temu i większa część kryła się jeszcze wśród drzew i winorośli. Na myśl o odkryciu Sam poczuł łaskotanie dumy.

Wuj Hank wskazał lokalizację miasta na podstawie analizy starych podań, przekazywanych z ust do ust przez miejscowych Indian Kiczua. Wykorzystując ręcznie szkicowane mapy i fragmenty legend, wyruszył z zespołem badawczym z Machu Picchu, poprowadził go wzdłuż rzeki Urubamba i po dziesięciu dniach dotarł do znajdujących się pod górą Arapa ruin. Odkrycie opisano we wszystkich fachowych i popularnych czasopismach, nadając miastu przydomek Ruin w Chmurach, a wuj pojawił się na wielu okładkach. Zasłużył sobie — to, czego dokonał, było zadziwiającą demonstracją umiejętności łączenia faktów oraz wiedzy archeologicznej.

Oczywiście — ta duma mogła wynikać z uczuć, jakimi Sam darzył wuja, to on bowiem go wychowywał po śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym, kiedy Sam skończył dziewięć lat. Żona Henry’ego zmarła w tym samym roku — mniej więcej cztery miesiące wcześniej. Ponieważ obaj byli pogrążeni w żałobie, wytworzyła się między nimi głęboka więź, stali się wręcz nierozłączni. Nikogo nie zdziwiło, że Sam zaczął studia archeologiczne na Texas A&M.

— Słowo daję, że jak dobrze się wsłuchasz — powiedział Norman — usłyszysz wycie wojowników wysoko na szczytach, szepty domokrażców i klientów z dolnego miasta i pieśni robotników z pól na tarasach za murami.

Sam próbował słuchać, ale docierały do niego tylko strzępy rozmów prowadzonych podniesionymi głosami oraz drapanie szpadla i kilofa, dolatujące głuchym echem z pobliskiej dziury w ziemi. Nie były to